Nr. 4. Lwów, 4. Kwietnia 1896. r. Wydawnictwa Rok XIX.

GONIEC i ISKRA

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów 10. ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów 10. ct. w. a.

Goniec i Iskra wychodzi: 15. i 1. każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pismo humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek**, wychodzące dwa razy na miesiąc: 8., i 23. oraz **bezpłatne premie.** Prenumerata na **Gońca** i **Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem** i **premiami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki.* W Poznańskiem i w Niemczech: 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, orazw Ameryce półrocznie 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce połudn,. w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych,* lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora:

Właściciel i naczelny redaktor: M. Dzikowski — Chamski.

Od Administracyi.

Tych wszystkich pp. Prenumeratorów, którzy zalegają w prenumeracie, prosimy usilnie aby odesłali zalegające należytości, gdyż podobne rachunki są bardzo uciążliwe dla wydawnictwa. tembardziej, że szczególniej wśród zimy pobieranie prenumeraty przez inkasenta staje się bardzo utrudnionem.

Na tem też miejscu zwracamy szczególną uwagę pp. Prenumeratorów zamieszkałych w Ameryce, aby jak najrychlej uregulowali swoje rachunki, odsełając bieżącą i zaległą prenumeratę, gdyż korespondencja z nimi jest bardzo kłopotliwa i kosztowna, a więc będziemy zmuszeni, tak jak to robią administracje pism amerykańskich, zalegających w prenumeracie, ogłaszać drukiem i w ten sposób upominać się o swoją należytość.

Objaśnić musimy, że rok naszego wydawnictwa rozpoczął się przed **dziewiętnastu laty** *dnia 15. lutego — stała się więc omyłka: na 1-ym Nr. z tego roku powinna być data nie 1go, lecz* **15go lutego,** *co niniejszem prostujemy i dajemy na numerze bieżącym odpowiednią datę.*

Numer ten umyślnie opóźniamy i dajemy datę 4. Kwietnia, aby objąć cały czas przedświąteczny w bieżących sprawach.

Od ręki.

— Lavater i Goethe.

W lecie roku 1774 Lavater, trzydziestoletni wówczas mężczyzna, przejeżdżał przez Niemcy do wód w Ems. Sława jego wówczas była znaczna, dzięki „Pieśniom szwajcarskim“, ogłoszonym w r. 1767, które nie tylko w Zurychu, mieście rodzinnem, ale i w całych Niemczech znalazły oddźwięk, jak wszystko, co było pisane w owym czasie pod wpływem Klopstocka. Jednocześnie uwagę świata uczonego zwróciły badania Lavatera, dotyczące stosunku rysów twarzy do charakteru i uczuć. Budziły nadto zaciekawienie zapowiedziane już przez księgarza „Szkice fizjonomiczne“, które w samej rzeczy ukazały się w roku 1775.

Lavater od dawna życzył sobie poznać autora „Goetza z Berlichingen“, którego „Werther“ cieszył się wówczas powodzeniem niesłychanem. W drodze do Ems Lavater wstąpił do Frankfurtu, gdzie mieszkali rodzice poety. Tam spotkały się dwie znakomitości europejskie w dniu 28. czerwca. Goethe był młodszy, bo wkraczał dopiero w 25 rok życia. O jednym momencie z tej wizyty, pisze Goethe w trzeciej części swych pamiętników:

„Wsiedliśmy razem do powozu, gdzie, zamknięci dobrze, odcieci od świata, mogliśmy swobodnie rozprawiać o wszystkiem, cośmy mieli sobie do powiedzenia. Był to piękny dzień letni. Byłem zachwycony Lavaterem. Pomimo powagi swego umysłu, nie gardził wesołością, ilekroć zdarzała się po temu okazja. Podróż nasza pod wielu względami zachęciła mnie do pracy i pobudziła mnie do czynu“.

Goethe pisał te słowa w 40 lat po widzeniu się z młodym swym przyjacielem. Podobna wzmianka znajduje się i w pamiętnikach Lavatera, wydanych przez jego zięcia, Jerzego Gessnera, najlepszego biografa twórcy „Fizjonomii“:

„Goethe pojechał z Lavaterem, co temu ostatniemu niewysłowioną sprawiło przyjemność. Mam pod ręką tylko fragmenty z rozmowy tych dwóch ludzi, z nich jednak można powziąść wyobrażenie o kierunku, jaki ciągle przybierała rozmowa, pomimo nastręczających się co chwila wrażeń podróży. Goethe nieustannie cytował swoje wiersze, wspominał o pomysłach, zapytywał o zdanie“.

Oto parę urywków z dziennika Lavatera, dotyczących owej podróży dwóch najznakomitszych w owe czasy młodzieńców w Europie:

„O godzinie 11 przed południem przybyliśmy do Nassau, o dwie godziny drogi do Ems. Natychmiast udaliśmy się z wizytą do baronowej Stein. Wspaniały dom w obrzydliwej dziurze. Pani baronowa jest wielką damą pięćdziesięcioletnią. bardzo oryginalną w rozmowie i poglądach. Prosiła nas na obiad, aleśmy podziękowali, bo nie ma nic przyjemniejszego w podróży, jak obiadowanie swobodne w oberży, w miłem a dobranem towarzystwie. Wychodzimy wreszcie po dwugodzinnej wizycie. O godzinie 4 tej po południu stajemy w Ems, przyjemnem miasteczku, stojącem na wyniosłej górze skalistej. Po napisaniu listów do domu, wchodzimy do sali stołowej w oberży. Co za ruch! Gwar taki, że rozmawiać trudno po cichu. Przy bilardzie stuk, przy stołach szczęk. Na około widzimy oficerów, jenerałów, hrabiów, baronów, wielkie damy. Przypominamy sobie dawnego znajomego, niejakiego radcę tajnego p. Mayera z Hanoweru, człowieka inteligentnego. ale hipokondryka. Do towarzystwa naszego przybywa niebawem jenerał hr. de la Haye. Znużony gwarem, wymykam się z sali i w pokoju moim kreślę kilka wierszy w dzienniku. Drzwi otwierają się: to dr. Kraempf przychodzi do mnie z wizytą. Mówimy o braciach morawskich, o separatystach, poczem powracamy do sali, gdzie Goethe króluje bez przerwy. Znajdujemy przy naszym stole grono dam, którym nas przedstawia dyrektor kancelarji Fischer, śmieszny człowieczyna.

„Budzę się o godzinie 3 z rana. Piękny świeży poranek! Świergot ptasząt rozlega się w okół. Wstaję, odczytuję dziennik wczorajszy. Goethe budzi się i przychodzi powiedzieć mi dzień dobry.

„O godzinie 4½ wsiadamy do powozu i jedziemy przez miasto, spokojne jeszcze, oświetlone czerwienią wschodzącej zorzy i śpiące jeszcze głęboko. Okolice przepiękne. Zdawało nam się, iż burza ryknie nam nad głową, ale na szczęście poszła bokiem i dała nam spokój. Goethe jest cały pod wrażeniem Spinozy. Twierdzi, iż nikt ze współczesnych tak dokładnie nie wyrażał się o bóstwie, co sprawia, iż filozof okradany bywa bezmiłosierdzia przez wszystkich deistów, piszących obecnie. Jako człowiek, Spinoza jest mężem sprawiedliwym, prawym a ubogim: homo temperatissimus. To też szacunek ludzki towarzyszył mu zawsze. Sam był jasnowidzącym, ale potępiał jasnowidzenia. Był tak drażliwy i tak obawiał się stosunków z ludźmi, iż zrzekł się znacznego dziedzictwa, aby tylko nie prowadzić z rodziną procesu. Wymówił sobie tylko łóżko swego ojca. Był bardzo ubogi, a zarabiał na życie szlifowaniem szkła. Korespondencje Spinozy są najciekawszemi korespondencjami, jakie kiedykolwiek napisano. Są to jednocześnie studja nad filantropią i szczerością duszy,

„Wysiedliśmy gdzieś w lesie i na murawie spożyliśmy śniadanie. Nagle Goethe zaczął snuć projekt swego nowego dramatu na wielką skalę. Za kanwę do dzieła ma służyć zburzenie i pożar miasta Oppenheimu i Worms za Ludwika XIV. Mieszkańcy otrzymują zawiadomienie, iż w dniu oznaczonym ogień podłożony będzie w czterech rogach miasta. Mają tedy wyjść w okolice i zabrać, co im się podoba. Mieszkańcy wysyłają do dowódcy wojska najprzód wszystkich starców. potem wdowy i sieroty, wreszcie dzieci. Wszystko to płacze i błaga. Dowódca wojsk płacze wraz z nimi, ale musi wykonać rozkaz. Mieszkańcy wychodzą z miasta z workami na plecach, a za nimi szerzy się łuna pożogi“.

W ten sposób, w rozmowie przyjacielskiej nieraz powstają plany arcydzieł...

— Wojna w Abisynji.

Bardzo ciekawe szczegóły podają o wojsku abisyńskiem i prowadzeniu wojny tem ciekawsze, że są właśnie na czasie.

Przed wyruszeniem w pole, wodzowie etjopscy, tak samo jak starożytni rzymianie, badają wyrocznie przeważnie z lotu ptaków. W prowincjach Tigre i Amara używają do tego najczęściej sokołów białych i czarnych. Jeśli przepowiednia dobrze wypadnie, wojska wyruszają natychmiast w drogę. Na czele pochodu idą tak zwani „fitaurari“, rycerstwo wyborowe, uzbrojone w karabiny najrozmaitszych systemów. Za nimi postępuje muzyka „negaril“, ubrani czerwono.

Za muzyką ciągnie gromada skoczków i błaznów w pstrych ubraniach, poprzedzająca konia, który nosi na sobie księgi Pisma św. i Ankober. Wielki zastęp paziów i żołnierzy otacza tę świętość, bardzo czczoną przez abisińczyków.

Teraz dopiero zbliża się pierwszy korpus, prowadzony przez jednego z „rasów“. Na czele postępuje tłum strzelców, przybranych w skóry. Tuż za nimi idą niewolnicy i prowadzą konie poprzybierane w bogate czapraki. Jest to wielce ceniona kawalerja plemienia Gala. Za kawalerją ciągną tłumy urzędników dworskich; oddział ten również poprzedza muzyka. Dygnitarze, ubrani w długie szaty jedwabne, jadą na mułach, pokrytych czaprakami, sięgającymi aż do ziemi. Za nimi ukazuje się nareszcie „negus negeszti“, król królów, potomek Salamona i królowej Saby,

„władzca Izraela“, bo i ten ostatni tytuł należy do godności monarchy abisyńskiego.

Negus siedzi na białym mule, którego prowadzi paź na złotej uździe. Inny paź zasłania głowę negusa olbrzymim parasolem przed palącemi promieniami słońca. „Potomka Salamona“ otacza gwardja przyboczna złożona z czterystu ludzi. Są to wojownicy wyborowi.

Za królem i gwardją ciągnie bezładny tłum oficerów, służby, paziów i jeźdźców. W pośrodku tego tłumu widać godło wojenne etjopskie, krzyż żelazny, chorągiew i turban biały, wysoki. Duchowieństwo abisyńskie otacza te godła gęstym szpalerem. Tu przebywa także spowiednik negusa zwany „nefs abat“.

W niejakiem oddaleniu postępuje drugi korpus „nebo“, składający się przeważnie z oddziałów artylerji, potem trzeci i czwarty.

Między żołnierzami tłoczą się bezładnie urzędnicy, niewolnicy, dostawcy żywności z obładowanymi mułami, pasterze pędzący trzody owiec. Armia abisyńska postępnje zwykle łożyskami rzek górskich, które w pewnych porach roku są zupełnie wyschnięte. Szum pochodzący z wrzawy, już zdala zapowiada przybycie wojska.

Podczas wojny, każdy żołnież musi myśleć o własnem wyżywieniu, z tego też powodu w armii znajdują się całe tłumy niewolników i kobiet, dążących za swymi panami i mężami. Kobiety abisyńskie są niestrudzone. Po długim marszu po ziemi rozpalonej promieniami słońca, przybywszy na postój, nie myślą o spoczynku, lecz śpiewając, krzątają się koło ognisk, mielą zboże w malutkich żarnach i przygotowują strawę „endżera“. Wśród boju zagrzewają mężów do walki, pielęgnują rannych i wynoszą poległych z pola bitwy.

Przejście przez rzekę stanowi dla armii abisyńskiej trudność nie małą. Przeprawa odbywa się zawsze w bród. Gdy wojsko stanie nad wodą, podnosi okrzyk straszliwy, aby odstraszyć krokodyle. Następnie tłum wstępuje w nieładzie w łożysko. Piesi dźwigają kobiety na ramionach, jeźdźcy tłoczą się się z końmi pomiędzy pieszych. Biada temu kto upadnie! Tłum przejdzie po nim, nie bacząc na przeszkodę.

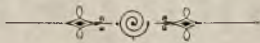
Rozbicie czerwonego namiotu negusa jest znakiem, że armia powinna się zatrzymać. Chwili tej po długim, nieraz cały dzień trwającym marszu, niejeden oczekuje z utęsknieniem, podczas pochodu bowiem ani na chwilę odpocząć nie można. Tłum z tyłu prze ciągle naprzód, naprzód!

Okolica, przez którą przejdzie armia abisyńska, na długo pamięta ten wypadek. Co tylko jest do zabrania, żołnierz abisyński zabiera, a co gorsza, zmusza właściciela do robocizny; jedynie tylko dobra duchowne bywają oszczędzane. Przechodząc przez kraj nieprzyjacielski, wojsko niszczy budowle i gospodarstwa, a mieszkańców zabija.

Że wojna w tych warunkach długo trwać nie może, łatwo się domyśleć. Spustoszony kraj nie pozwala na dłuższy pobyt armii w jednem miejscu, gdyż wkrótce dałby się odczuć brak żywności.

Pod Aduą, Menelik dla tego jedynie mógł się zatrzymać przez dni kilkanaście, że z pomocą przyszło mu duchowieństwo z Aksum, które oddało do rozporządzenia armii swoje szpichlerze pełne zboża, istniejące głównie na wypadek nieurodzajów w kraju.

— Wystawa tysiąclecia w Budapeszcie. Program uroczystości z powodu obchodu tysiąclecia istnienia królestwa węgierskiego, został już w Budapeszcie ułożony. Główne jego punkta są następujące: 1 maja przyjazd cesarza do stolicy Węgier, 2 maja uroczyste otwarcie wielkiej wystawy przez cesarza, w otoczeniu członków rodziny cesarskiej, których 29 zapowiedziało obecność swoją. 3 maja nabożeństwo dziękczynne w kościele koronacyjnym, na którem będzie także cesarzowa: arcyksiężne i inne damy wystąpią w strojaah galowych węgierskich. 10 maja nabożeństwo we wszystkich kościołach kraju. 18 maja théatre paré w teatrze narodowym. Dnia 6 czerwca położenie kamienia węgielnego pod nowy pałac królewski, przy udziale cesarza i rodziny cesarskiej. Tegoż dnia przeniesienie insygniów koronnych, które w kościele św. Macieja będą wystawione przez 2 dni, na widok publiczny. 8 czerwca składanie hołdu monarsze przez sejm węgierski, uroczysty pochód z insygniami koronnemi z kościoła św. Macieja do gmachu parlamentu, a potem ztąd do zamku cesarskiego. W dniach 5 i 19 lipca, 2, 16, 20, 23 i 30 sierpnia odsłonięcie szeregu pomników narodowych w Peszcie i na prowincji. Od 1 do 5 września otwarcie 400 nowych szkół ludowych, 6 września poświęcenie odrestaurowanej katedry w Koszycach. Przez wrzesień odsłonięcie dalszego szeregu pomników narodowych w Preszburgu, Semlinie itd. Dnia 27 września otwarcie uroczyste „Żelaznej bramy“ na Dunaju, w obecności cesarza i obcych monarchów, 4 października otwarcie mostu Franciszka Józefa w obecności cesarza. 31 października zamknięcie wystawy i przedstawienie galowe w teatrach stolicy.



ODGRZEWANA MIŁOŚĆ.

Komedja w 4 aktach, a 5 odsłonach,

napisał

Żegota Krzywdzic.

—

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 3.)

Matylda. A więc?...

Tarkiewicz. (wstaje) Nie pani — nie miałem i nie mam tego zamiaru... (Chwila milczenia — Tarkiewicz bierze jakąś książkę, czy album z pobliskiego stolika i przegląda — Matylda wpatruje się w niego).

Matylda. (mocno wzruszona) Zkąd-że te pozory?...

Tarkiewicz. Nie wiem...

Matylda. Jednak...

Tarkiewicz (przerywa) Za pozwoleniem — czy panna Bronisława wie o tem?...

Matylda. Nie mówiłam z nią — a pan?..

Tarkiewicz. A ja tem bardziej!..

Matylda. A jednak...

Tarkiewicz. (rzuca album) Co jednak?!...

Matylda. Nic... (chwyta chustkę i wybucha cichym, ale silnym płaczem).

Tarkiewicz (podchodząc do kanapki, na której siedzi Matylda — wzruszony) Czego pani płacze?

Matylda. (wstaje, odchodząc od kanapy) Nic... nic — nie zważaj pan na to... (chwila milczenia).

Tarkiewicz (poruszony) Szkoda tego, co było...

Matylda (ponownie wybucha płaczem) I co się już nigdy nie może wrócić...

Tarkiewicz (j. w.) Matyldo!...

Matylda (uspakaja się) Cicho... cicho!.. jam winna... jam sprawczynią swego nieszczęścia... ale na Boga! nie kochaj innej kobiety, a jak pokochasz, nie daj mi patrzeć na to... nie mordój mnie! miej litość przecie dla tej, którą była twoja żona i... którą przecież, kiedyś, kochałeś...

Tarkiewicz. Kiedyś...

Matylda. (wzruszona) Teraz już nie... prawda — nie... pogardzasz mną... tak, oczywiście, masz prawo... (wybucha płaczem i rzuca się na fotel).

Tarkiewicz. (podchodzi i bierze ją za rękę) Uspokój się!... nie pogardzam... Bóg mi świadkiem, że nie, chociaż skrzywdziłaś mnie.. Dziwnie mi jest... opanowywa mnie lęk jakiś... buchło to wszystko płomieniem, a zdawało mi się, że nie ma już, ani jednej iskierki...

Matylda (chwyta go za rękę) Słuchaj! ja nie wiem, czego chcę... ja nie wiem co będzie... ale ja utonęłam cała w tem, co się dzieje w tej chwili... błogosławię ją.. Źle robię, wiem, ala ja błogosławię tę chwilę dzisiejszą... Widzisz, nie muszę być tak złą... Bo widzisz, jedno słówko od ciebie, gdyśmy się rozeszli... jedno skinienie — jabym była u nóg twoich, ale tyś nie mógł tego zrobić... ja wiem... ja byłam głupia, płytka... taka zwykła... i całą moją miłość, bom ja cię przez minutę nie przestała kochać, opanował upór, fałszywa ambicja kobiety... A! ja teraz to wiem — ale... a! co mi tam!.., Ciota nie kochałam nigdy, a dziś go nienawidzę za to, że się znalazł na mojej drodze, że mnie skusił — on temu nie winien — ja wiem, ale ja go nienawidzę... Co będzie — nie pytam się o to — wiem tylko, że nie kochasz innej... Żadna nie była i nie jest godniejszą odemnie... żadna, a przecież jest ich tyle... żadna... tyś mój!... (rzuca mu się na piersi).

Tarkiewicz. Matyldo!... (Słychać turkot na zewnątrz).

Matylda, (odbiega) Ktoś zajechał...

Tarkiewicz, (podchodząc do okna i patrząc w nie) Stryjenka Jastrzębianka — co się tam mogło stać u mnie?...

SCENA 4.

Ciż i Jastrzębianka.

Tarkiewicz (podchodząc do wchodzącej Jastrzębianki i całując ją w rękę) Cóż się tam znowu stało?...

Jastrzębianka (witając się z Matyldą) Nic się jeszcze nie stało, ale się może stać i to nie u nas, tylko tu.

Matylda. Tu?...

Jastrzębianka. Gdzie jest Stach?...

Matylda. W ogrodzie z Bronkę.

Jastrzębianka. A pan Ciot?

Matylda. Także w ogrodzie z panem Szafrańcem.

Tarkiewicz. Ale co się właściwie, stało — moja stryjenko?...

Jastrzębianka. Za chwilę przybędzie tu Kobylinowa — ona wszystko dokładnie powie i da radę — ja tylko to wiem, że będzie jakieś śledztwo, że szukają Stacha. Majorowa była u nas i pojechała inną drogą do państwa, aby nie zwracać na siebie uwagi — więcej nic nie wiem, ale domyślam się coś złego. Całe szczęście, że ta poczciwa Kobylinowa przy pomocy męża, który ją bezwarunkowo słucha, jeśli nie we wszystkiem zapobiegnie złemu, to przynajmniej, odwróci pozory gdzieindziej..

SCENA 5.

Wchodzą: Stach, Bronka, Szafraniec i Ciot. (witają się)

Ciot. Wiecie państwo — jedzie do nas Kobylinowa — już wjeżdża na podwórze.

Jastrzębianka. Właśnie czekamy na nią.

Ciot (całuje w rękę Jastrzębiankę) Jakto czekamy — kto czeka?

Tarkiewicz. Wszyscy.

Ciot (zdziwiony) Co? dlaczego?... (słychać turkot powozu zewnątrz)

Szafraniec. O właśnie majorowa zajeżdża.

Ciot. (j. w.) Cóż to znowu za awantury?!...

SCENA 6.

Ciż i Kobylinowa.

Kobylinowa (wpada na scenę z ferworem) Jak się macie? jak się macie państwo? (podaje po kolei ręce wszystkim) Uf! (chłodzi się chustką) Zziajałam się! gorąco mi! (rzuca się na kanapę) Nie ma czasu do stracenia!... Tylko, co ich nie widać!.. Nic wam nie zrobią — da nu ich k'czortu!...

Ciot (j. w.) Kogo nie widać? kto przyjedzie!...

Kobylinowa. Mąż mój i Mordowcew.

Ciot. (j. w.) Co za Mordowcem?...

Kobylinowa. Przysłali go z Warszawy umyślnie — na śledztwo co do tego teatru amatorskiego, coście grali tu i loterji fantowej. Mąż mój musi mu asystować, jako miejscowy naczelnik. Ma też wyszukać tego pana.. (wskazuje na Stacha),

Bronka. Jezus Marja!...

Szafraniec. No to w nogi, Stachu drogi, bo cię tu zastaną, a jak cię potem schowają, to rodzona matka nie odnajdzie...

Kobylinowa. (do Szafrańca) Powiedział, co wiedział!... Pan się ztąd nie ruszy, panie Stanisław...

Bronka. (niespokajnie) To go przyaresztują!...

Kobylinowa. Akurat!... figę!... tu nie ma żadnego Stanisława Stacha — tu jest ten pan, co stoi w tym paszporcie (pokazuje papier). Weźże go pan sobie (Stach odbiera) i zanim przyjadą — przyczytaj dobrze, kim jesteś i skąd. A co masz przy sobie ze swoich papierów — oddaj. A państwo wszyscy powinni wiedzieć, że ten pan nazywa się Izydor Kupsztynajtys ze Żmudzi, — innego paszportu nie mogłam dostać... pan tu przyjechał — czy kupić majątek, czy żonę — tfy!... eka czort! żonę znowu!.. chciałam powiedzieć, czy ożenić się, a kogo jest krewny i jak — to już się tam państwo porozumiejcie — ale prędko, żeby nie było za późno. A z kieszeni wszystko oddać, żeby się nie zdradzić, jakby rewidowali... (Stach zbliża się do Tarkiewicza, Jastrzębianki, Ciota, Bronki i Matyldy i rozmawiają z sobą po cichu).

Szafraniec. Jakżesz to będzie? przecież pan major zna Stacha osobiście...

Kobylinowa. Ktoto panu powiedział — ha?...

Szafraniec. Jakto? cóż znowu?...

Kobylinowa. Mój mąż nigdy go nie widział, nie zna i znać nie chce — a jemu co po takich znajomościach! da nu ich k'czortu!.. I co pan, tu, wreszcie, będzie nas indagował!.. Ruki pa szwam i słuszat! nie zna i basta! co tu gadać! pan Szafraniec wie jedno, a pani Kobylinowa wie drugie... A pan Szafraniec, niby mądry — filozof — a ja prosta baba, no, ale tak jest, jak ja mówię — nie zna, nie widział, nie słyszał i ładna!,. A uciekać nie może, boby go po drodze złapali, a jak pojedzie do Warszawy, to go zaraz capną... Musi potem jechać światami!..

SCENA 7.

Ciż i służący.

Służący (do Ciota) Proszę wielmożnego pana — przyjechało dwóch panów: jeden wojskowy, drugi po cywilnemu...

(ogólne poruszenie).

Ciot. Gdzież są? —

Służący. Tam, zatrzymali się na podwórzu.

Ciot. No to ich proś tutaj!...

Służący Dwóch żandarmów przybyło z tymi panami.

Ciot. Idź tam i czekaj na ganku.

(służący wychodzi)

SCENA 8.

Ciż oprócz służącego.

Kobylinowa Niech się pan nimi nie kłopocze — oni tu sami przyjdą, a żandarmi, to tam zostaną w sieniach, jak by było potrzeba, to ich zawołają. No, a teraz uszy do góry! (wstaje) i nic się proszę nie bać! Ja tu nie mogę być. Posiedziałabym sobie w przybocznym pokoju, a nuż temu panu zechce się rewizję robić — znalazłby, czego nie szukał. Da nu jewo k.czortu!.. Ja tu sobie pójdę przez ogród — tam kazałem stanąć mojemu powozowi i odjadę. Bądźcie państwo zdrowi! (żegnają się — do Stacha) Panie Kupsztynajtys do widzenia!... (wychodzi bocznemi drzwiami — Ciot podprowadza ją do samych drzwi).

SCENA 9.

Ciż, oprócz Kobylinowej.

Szafraniec. Głupia sprawa!...

Ciot Ale, czego oni, u djabła, chcą?..

Tarkiewicz. Dowiemy się wkrótce, bo słyszę, że już idą...

(poruszenie ogólne)

SCENA 10.

Ciż, Kobylin i Mordowcew.

(Kobylin wchodzi pierwszy, za nim Mordowcew — kłaniają się)

Kobylin. My tu po służbie... (wskazując na Mordowcewa) Pan Mordowcew, urzędnik do szczególnych poruczeń z głównego zarządu żandarmskiego...

Ciot. (podchodzi po Mordowcewa) Bardzo mi przyjemnie... jakby to panu powiedzieć...

Mordowcew. (przerywa) Wątpię, aby wizyta nasza była panu przyjemna — mnie, przynajmniej, przykro jest, że spełniam swój obowiązek, ale spełnić go muszę... Proszę państwa siadać! (wszyscy siadają w rozmaitych miejscach — Mordowcew siada koło jednego największego stołu, wyjmuje z surduta papiery i ołówek, Kobylin siada obok Mordowcewa bez żadnych papierów.)

(Chwila ogólnego milczenia, podczas którego Mordowcew przegląda papiery. Kobylin siedzi nieruchomy.)

Mordowcew. Pan Ciot jest tu gospodarzem?..

Ciot. (nie wstając) Tak jest.

Mordowcew. Proszę pana, w domu pańskim był niedawno teatr amatorski... i loterja fantowa?

Ciot. (j. w.) Tak jest.

Mordowcew. Proszę pana, co grali na tym teatrze?

Ciot. Jedno-aktową komedyjkę, czy coś podobnego...

Mordowcew. Jakto „czy coś podobnego“?...

Ciot. No, jakby to panu powiedzieć — ja nie wiem, jak nazwać taką rzecz...

Mordowcew. Cóż to było?

Ciot. (j. w.) Takie coś, ni w pięć, ni w dziewięć...

Mordowczew. A tytuł jaki?...

Ciot. (j. w.) „Popis u dyrektora“

Mordowcew. Chciałbym widzieć egzemplarz tego „Popisu“...

Ciot. (ogląda się ku reszcie siedzących) Gdzież macie egzemplarz?..

Matylda. Leży tam na stole — przy panach.

Kobylin. (podnosi kajet ze stolika) To?..

Matylda. To.

Mordowcew. (bierze kajet i przegląda) Proszę pana, panie Ciot, a na jaki to cel był ten teatr amatorski i ta loterja fantowa?...

Ciot. (siedząc) Na odbudowanie spalonego kościoła w Wulce.

Mordowcew. Tak — na inny cel nie?

Ciot. (j. w.) Nie.

Mordowcew. My mamy doniesienie, że na inny cel...

Ciot. (j. w.) Ja tylko wiem o kościele.

Mordowcew. No, niby, jest w tem i kościół...

Ciot. (j. w.) W czem?

Mordowcew. W tem, co my wiemy...

Ciot. (j. w.) Zkąd-że ja mogę wiedzieć, co kto wie o czemś, jakby to panu powiedzieć, w Warszawie na drugiem piętrze...

Mordowcew. (nieco poruszony) To mnie cieszy, panie Ciot, że pana nie opuszcza dobry humor — to, nie zawsze, ale często jest znakiem czystego sumienia...

Ciot. (wstaje i podchodzi bliżej.) Ja muszę zwrócić uwagę, jakby to panu powiedzieć, że co do czystości sumienia, to zwykłem takie sprawy załatwiać w kościele z księdzem, a nie gdziekolwiek indziej z urzędnikiem, choćby nawet do szczególnych poruczeń... (Kobylin chrząka i porusza się)

Mordowcew. (poruszony) O!...

Ciot. (rozdrażniony) Nie wiem, co panowie chcecie, niczego się nie lękam i, jakby to panu powiedzieć, nic mnie nie obchodzi denuncjacja jakiegoś tam łajdaka...

Mordowcew. O, panie Ciot!...

Ciot. (j. w.) Ja mam prawo zapytać się, czy to jest sąd, czy śledztwo, o co,, za co, po co, bo przecież nie mogę przypuścić, aby rządowi zależało na tem, że się w kogoś coś wmawia, jak w chorego jaje...

Mordowcew. O! pan dobrodziej gniewa się... a ja bardzo się tego boję... nu, to ja panu powiem... jest śledztwo podług administracyjnego porządku — Wulka, nie Wulka — no może i Wulka — nam doniesiono, że teatr amatorski w pańskim domu i loterja fantowa odbywały się na korzyść twardych unitów i, że tem się zajmował pan Stach...

Ciot. Ja, łaskawy panie, jakby to panu powiedzieć, absolutnie nic nie wiem, o unitach, ani na twardo, ani na miękko...

Mordowcew. Pan nie wie — ale najlepiej może nas objaśnić ten pan Stanisław Stach.

Stach. (wyrywa się) Ja... (w tej sekundzie Kobylin rzuca dużą książkę, lub coś innego ze stołu na podłogę.)

Mordowcew. (ku Stachowi) Ha? pan., co?...

Stach, Ja chciałem powiedziec, że pana Stacha niema...

Mordowcew. Niema?

Jastrzębianka. Wyjechał ztąd już dawno...

Mordowcew. Dokąd?...

Jastrzębianka. Do Warszawy.

Mordowcew. Tak. (do Stacha) A pan — kto jest?... proszę bliżej!...

Stach. (wstaje i podchodzi.) Izydor Kupsztynajtys.

Mordowcew. Jak?...

Stach, Izydor Kupsztynajtys.

Mordowcew. Co to za nazwisko?..

Stach. Żmudzi.

Mordowcew. To pan ze Żmudzi?...

Stach. Ze Żmudzkie.

Mordowcew. A co pan tam robił?...

Stach. Urodziłem się...

Mordowcew. No, to żadna robota...

Stach. Niechby! po nadto nic jeszcze nie zrobiłem i to mnie martwi...

Mordowcew. E, panie — powiadają, że Żmudzini, to ludzie, co zawsze sobie dadzą radę...

Kobylin. A tak — mówią nawet, że żmudzin wypłynie zawsze w nowem obuwiu, z zegarkiem i złotym łańcuszkiem, choć go do rzeki rzucą gołego...

Mordowcew. (z wyrztem do Kobylina) Fuj! jakże można przy damach!..

Kobylin. Pardon!

Stach. Ja, właśnie, do takich należę..

Mordowcew. A pan paszport ma?

Stach. Naturalnie.

Mordowcew. Proszę! (Stach daje paszport — Mordowcew, przegląda go — po chwili.) A proszę pana — panie Kupsztynajtys — panu na imię Izydor?

Stach. Tak jest.

Mordowcew. Izydor — tak — no, a kiedy pańskie imieniny?...

(poruszenie ogólne — mała pauza)

Stach. Ja jestem ewangielickiego wyznania — my imienin nie obchodzimy, tylko urodziny.

Mordowcew. (patrzy w paszport) Żmudzin — luterańskiej religji — hm... hm... hm... Po co pan tu przyjechał?...

Stach. Do krewnych.

Mordowcew. Kto pański krewny?...

Jastrzębianka. (wstaje i podchodzi) Ja jestem ciotką Izydora..

Mordowcew. Pani także luteranka?..

Jastrzębianka. Nie — katoliczka...

Mordowcew. Zkąd — że się Luter wziął w rodzinie?...

Tarkiewicz. (podchodzi) Ja jestem także jego kuzynem. Za czasów reformacji w Polsce, jeden z Kupsztynajtysów przeszedł na luteranizm.

Mordowcew. (do Jastrzębianki) Pani dobrodzika, w jakiem jest pokrewieństwie z panem Kupsztynajtysem?...

Jastrzębianka. (mówi chropowato) Ja?.. w bardzo bliskiem... To jest tak... uważa szacowny pan... prababka — tak jest prababka jego (wskazując na Stacha) i moja przyrodnia babka... tak, dobrze mówię — moja przyrodnia babka, to jest druga żona mojege ojczyma... to były dwie Kupsztynajtysówny...

Mordocew. (do Kobylina) Pan major to zrozumiał?...

Kobylin. Doskonale.

Mordowcew. Więc jakżeż to?...

Kobylin. No — jedna Kupsztynajtys od... pani.. (wskazuje na Jastrzębiankę) druga Kupsztynajtys od niego (wskazuje na Stacha) trzeci Knpsztynajtys on sam -- ten pan... teraz wszystko to zmieszało się i narobiło się Kupsztynajtysów.. (Obciera twarz chustką.) Wiadomo czasem, jak się zacznie rodzić — to tak, jakby gruszki trząsł...

Mordowcew. (ku Kobylinowej) Fuj!... jakże można przy damach.

Kobylin. O! pardon!

Mordowcew. Hm... hm... hm... (do Stacha) Po co pan tu przyjechał? w jakim interesie?...

Stach. Ja... właściwie... przyjechałem...

Jastrzębianka. Mój siostrzeniec pragnie się ożenić...

Mordowcew. Bardzo ładnie — i z kim?

Jastrzębianka. Z córką pana Ciota.

Ciot. (zdziwiony) To jest... zaraz... zaraz... — o!...

Jastrzębianka. (ciszej do Ciota) Daj — no pan pokój!... (głośno, zwracając się do Bronki i biorąc ją za rękę) To jest, właśnie, narzeczona...

Szafraniec. (na stronie) A ta baba, co znowu wyrabia!...

Mordowcew. (do Stacha) Panie Kupsztynajtys — wszystko to mi jakoś wydaje się podejrzane... Mnie trzeba dowodów przekonywających... To nie są żarty, proszę państwa... Tak sobie z palca nie wyssano, i tych unitów, i tego pana Stacha, który dawno już jest notowany przez policję... No, ale ja chcę wierzyć, że to wszystko prawda... (po chwili) Tak pani (do Jastrzębianki) mówi, że ta pani jest narzeczoną pana Kupsztynajtysa...

Jastrzębianka. Tak jest.

Mordowcew. No, to, panie Kupsztynajtys, to przecież się wolno, skoro tak jest — uściskajcie się państwo serdecznie, ale tak aż do skutku. No, panie Kupsztynajtys, dalej do szyi i do słodkiej buzi swojej narzeczonej!... (do Bronki — z ironją) może pani zacznie? proszę!..

Stach. (raptem porywa jakiś twardy przedmiot np. książkę z pobliskiego stolika i rzuca nią w twarz Mordowcewa). Łotrze!!!

(Wszyscy się zrywają — robi się ogólne silne zamieszanie.)

Mordowcew. (stojąc krzyczy) Rozbój! karauł!...

(Kobylin nic nie robi, tylko chwyta się obydwoma rękami za głowę i przebiega na drugą stronę salonu.)

(Na krzyk Mordowcewa — wpada drzwiami środkowemi dwóch żandarmów — Tarkiewicz, znajdujący się tuż przy drzwiach, chwyta pierwszego żandarma za kark, przewraca go na ziemię i wydziera mu szablę z ręki. Drugi żandarm odstępuje kilka kroków i wyjmuje rewolwer.)

Mordowcew. (cofając się ku ścianie) Pal!..

Żandarm drugi, Pietuszki, mierzy z rewolweru do Tarkiewicza — spostrzega to Matylda — rzuca się między żandarma a Tarkiewicza i woła)

Matylda. Jezus Marja! zabije go!.. (pada strzał z ręki żandarma)

(Matylda zachwiała się — spostrzega to Tarkiewicz, podbiega do niej i podtrzymuje ją — tymczasem Stach z boku pięścią wytrąca żandarmowi rewolwer z ręki i odbiera go — żandarm bezbronny, ogląda się i posuwa ku Mordowcewowi).

Tarkiewicz. Na Boga do mnie — ranna!..

(Podbiegają kobiety, Ciot i Szafraniec.)

Matylda. Nic... nic — w rękę tylko... lekka rana (usuwa się na podsunięty fotel)

Tarkiewicz. (ogromnie wzruszony — nie uważając na otoczenie) Zasłoniła mnie własną piersią!..

Ciot. (w najwyższej pasji zwracając się do wylęknionego pod ścianą Mordowcewa i do rozbrojonych żandarmów — Kobylin stoi po przeciwnej stronie salonu.) Co będzie, to będzie — a teraz — won łajdaki!..

(Zasłona spada koniec odsłony pierwszej aktu IIIgo. Ostatni epizod kończącej się sceny — gra się z nadzwyczajną szybkością i ogromnym ruchem, który się nie da ściśle piórem określić, lecz sama sytuacja dyktuje poszczególne akcje. Dwóch jest żandarmów działających w ostatniej scenie — jeden jest Pietuszkin i ten strzela z rewolweru.)

(Ciąg dalszy nastąpi).

BRZYDKA

przez JERZEGO ONDINOT.

Przełożyła z francuskiego Ludwika Borkowska.



...Przy żywem świetle żyrandola, w salonie o miniaturowych zwierciadłach, rzeźbionych artystycznie, o zagranicznych obiciach, pośród dziwacznie zestawionych przedmiotów, przypominających ich bajeczne ojczyzny, zamierzchłe wieki — przesuwali się zwykli goście. w nieodzownych „wieczorowych strojach“. w sukniach jasnych, zbytkownych i w poważnych, uroczystych, czarnych frakach.

Z tarasu, naśladującego marmur o niezliczonych sinych żyłkach, można było dostrzedz w dali niezmierny obszar morza; tajemnicze jego odgłosy rozpraszały się w przestrzeni: wilgotne wonie wsiąkały w uzdrawiający wiatr morski.

Na tym brzegu, opiewanym przez echa głośnych pism codziennych, których ilustrowane karty wyobrażały go niezliczoną ilość razy we wszystkich wystawach, w tej willi, gdzie eleganci bulwarowi oddawali się co noc zabawie, nikt nie zwracał uwagi na ocean; zwyczaj, „dobry ton“, wymagały dwumiesięcznego przynajmniej pobytu w nadbrzeżnych zakątkach i rzecz prosta, wszyscy byli temu posłuszni.

W otwartem oknie, podczas gdy powietrze drgało tonami skrzypiec i harf. a splecione pary ginęły w odmętach walca, dwaj młodzi ludzie prowadzili rozmowę.

— Jak niedorzecznym jest ten biedny Vallière; trzeba mieć głowę tak słabą, jak uczeń kollegium przy pierwszem cygarze, aby zachwycić się szalenie, dziewczyną idealnie brzydką, którą spotkał podczas ostatnich wakacyj. Zresztą, czyż nie znał jej przed pięciu, czy sześciu laty, gdy kończył wydział medyczny!

— Właśnie, lecz w tedy był on w wieku bohaterskich uniesień, przysiąg nadzwyczajnych, wspaniałych złudzeń. W rodzinnym zamku, o kilka zaledwie mil od Paryża, spędził tyle czarownych chwil w towarzystwie panny Janiny de Saint-Florent, gąski biało-różowej, śliczniutkiej, jak królewna z bajki, która w czernastym roku zapowiadała cudowną piękność.

— Żartujesz, mój drogi; chyba złe duchy prześladowały ją od tego czasu. Widzisz. jak się chłodzi wyuczonym ruchem, a on zdaje się być w zachwyceniu przed tą brzydotą, straszniejszą bezwątpienia od siedmiu grzechów głównych. Przed chwilą nazwałem go naiwnym; a więc, nie! Szuka, jak przypuszczam, uśmiechu fortuny, a kilka milionów przyszłego posagu panny, dodają jej nowego uroku w jego oczach. Te rzadkie klejnoty, te drogocenne tkaniny, prawie nie podobne do znalezienia, w które się ubiera, potężna sztuka sławnych krawców, wszystko to chybia celu, czyniąc ją jeszcze brzydszą... Lecz zdawało mi się, żeś wymówił wyraz: „piękność?“ Czyżbyś utrzymywał, że niegdyś...

— Tak, niegdyś! na nieszczęście -- niegdyś, Vallière przysiągł kochać tylko ją jednę, cokolwiekby zaszło i wierny swojej przysiędze, — my się z tego śmiejemy, ponieważ uważamy złamanie przysięgi w takich okolicznościach, za grzech powszedni i bardzo zabawny — wierny zatem swojej przysiędze, jest dziś jej narzeczonym. Jakże pospolita historja! Można ją zaliczyć do innych żartów salonowych, uznanych za dowcipne przez gwiazdy finansów i sportu! Nadszedł jednak czas, że musiał ją opuścić; wymagały tego okoliczności. Odjazd podobny do innych: łzy, pożegnania, łkania, szczere obietnice rychłego powrotu... Z początku pisywali do siebie; potem pani de Saint-Florent przerwała korespondencję córki w imię świata i konwenansów. Zjawili się inni konkurenci, lecz otrzymali bezlitosną odmowę.

— Romeo i Julia, na honor, odwieczny romans. powtarzający się tak często...

— Zgadzam się na to; odwieczny romans. lecz, jak dotąd przynajmniej, nieszczęśliwszy, niż miłość kochanków z Werony... Stało się, iż pospolity wypadek, jeden z tych niedorzecznych wypadków, które wplątawszy się w czyjeś życie, łamią je czasem, w rodzaju zdarzeń umieszczanych w rubryce rozmaitości w „Petit Journal,“ wywołujących łzy w oczach odźwiernych, — stało się zatem, iż jeden z tych głupich wypadków obrał za ofiarę pannę de Saint-Florent. Lubiła ona nadzwyczaj długie przejażdżki konno po wsi, polowania w lasach i na wzgórzach. Od jutrzenki towarzyszyła ojcu i jego starym przyjacio-

łom. I cóż się stało? Nawet dla naocznych świadków nieszczęścia, niemożliwem jest dokładne wytłómaczenie tegoż. Przez opłakaną niezręczność jednego z myśliwych, śrót z jego broni poranił jej całą twarz; tak opowiadano mi tę historję. Wywiązała się długa choroba i kiedy później, po upływie wielu miesięcy, Janina de Saint Florent spojrzała w lustro, spostrzegła się taką, jak ją widzimy dzisiaj. Zabliźnione ranki otwierają się czasem jeszcze, robiąc wrażenie jakiejś wstrętnej choroby: ciebie ona przestrasza, we mnie wzbudza litość... A jednak jest tak wesoła!... Jej pierwsza myśl musiała być skierowaną ku niebecnemu narzeczonemu. Czyż on, tak dumny z jej idealnej piękności, nie odtrąci jej teraz? Może nawet wrócił po to tylko, aby ją pożegnać na zawsze. Czyż może ją kochać nadal, taką jak jest teraz? Czy nie powinna przywdziać żałobnego welonu i odsunąć się od świata? A szesnaście lat uśmiechało się do niej rozkosznym uśmiechem!... I powrócił, mój drogi przyjacielu i płakali oboje, ponawiając przysięgi i przyrzeczenia, w imię ich młodocianej miłości, w imię wszystkich przyjemnych wspomnień dzieciństwa, przejść razem drogę życia i umrzeć razem... Takiem jest całe to zdarzenie, bardzo pospolite.. Kochał ją piękną. kocha ją ciągle. pomimo brzydoty. Nie patrzy na nią zapewne naszemi oczyma, pozostała w jego oczach uśmiechniętą pieszczotką, małą wróżką, z owego czasu, gdy biegając po zamkowym parku. pod sklepieniem z liści, rozmawiali o przyszłości. On pogardza najpiękniejszymi, dla tych zaś, którzy go nie pojmują, a po większej części nie pojmą nigdy, jest on tylko niebezpieczuym intruzem, wślizgującym się zręcznie do naszego towarzystwa, dzięki rodzącemu się talentowi malarstwa i starającym się, jak i ty myślałeś o ponętna, lecz godną pogardy zdobycz — złoto. Ach! nie wierzymy już w szczere przywiązanie; a jeżeli w rzadkich chwilach wierzymy w nie jeszcze, nie śmiemy tego wyznawać. tak jesteśmy nikczemni; chcemy być sceptykami... a jednak, kto wie, czy nie mamy racji!

...Po skończonym walcu, dwaj rozmawiający zmieszali się z tłumem gości. Pośród podzwrotnikowego upału zapachy konających kwiatów przesycały powietrze. Żal było młodym ludziom kącika u okna otwartego na morze. Potem, mijając Vallièr'a, uścisnęli mu rękę. Rozradowany, opowiedział im swoje piękne marzenia o przyszłości, szczerze i poprostu. Wyjedzie wkrótce do Szwajcarji, a po zwiedzeniu godnych tego miejscowości w górach, po krótkich przystankach w oberżach, rozsianych po drogach i przepełnionych, niestety! cudzoziemcami, uda się do wymarzonych Włoch, do Neapolu i Wenecji. Opowiadał im swoje projekty, wskrzeszał przed ich oczami lamartinowskie przejażdżki w gondolach po jeziorach z szafiru, podczas romantycznych nocy...

— Z pewnością nic nie zdoła ich rozłączyć, jak ci to już mówiłem — powtórzył jeden z młodych ludzi, gdy oddalili się od Vallier'a. — Ona pozostanie wiecznie jego bóstwem.

— Alež, ona?

— Czyż nie zachowała wiary w swoją piękność, gdy tylu innych śmieje się z jej brzydoty. Ponieważ jest kochaną, wierne zwierciadło głosi zapewne jej tryumf — pięknej między najpiękniejszemi, szepcze wyrazy nieskończenie słodkie, niewyraźne, utrzymuje, że świeżą jest jak jutrzenka, o cerze liliowej... A ja podziwiam tego Valliere'a, silniejszego od nas, nie zniżającego się do ciasnej rzeczywistości, ulatującego pewnym lotem do kraju marzeń. On nie rozumuje, gardzi szyderskiemi komplimentami, dziwi się sądowi przyjaciół, żałujących go, gdy on, podług swego zdania, osiągnął cel swoich marzeń...

— Koniec końców, mój drogi, to biały kruk.

— To człowiek, który wierzy...

Nie mówiąc nic, pogrążyli się w rozmyślaniach, mniej słuchając szalonych melodyj koncertu, niż cichej skargi oceanu!...

Towarzystwo dziennikarzy polskich.

Dnia 29 marca, tutejsze Towarzystwo dziennikarzy polskich, odbyło w sali kasyna mieszczańskiego, czwarte walne Zgromadzenie, które było dość liczne i bardzo ożywione. Majątek Towarzystwa wzrósł do 32.200 koron, w czem niemałą zasługę położyli pp. Skrzyński wiceprezes i Kucharski skarbnik. Na rok bieżący wybrano ponownie: prezesem p. Liberata Zajączkowskiego, a wiceprezesami pp. Skrzyńskiego i Chylińskiego. Do wydziału wybrano dwunastu członków.

Ożywioną dyskusję wywołał wniosek ustępującego zarządu, aby przeznaczyć pewną, mniejszą zresztą kwotę, na doraźne zapomogi. Wniosek ten znalazł zaciętych przeciwników, ale też i gorących obrońców, którzy bardzo słusznie zwracali uwagę, aby nie pomijać głównego humanitarnego celu Towarzystwa i w końcu wniosek przeszedł.

Towarzystwo dziennikarzy polskich rozwija się ogromnie pomyślnie i szybko. W krótkim czasie stanie się ono potężną instytucją, nietylko humanitarną, lecz i finansową, o którą się oprze i znajdzie zawsze w niej pomoc i prawdziwą reprezentację cały świat dziennikarski polski, — tembardziej, że obecnie statuta Towarzystwa pozwalają na objęcie członków i ich delegacyjnych czynności w Poznańskiem i zagranicą, a nie wykluczona jest nadzieja, że w niedalekiej przyszłości i koledzy nasi z zaboru rosyjskiego będą mogli do Towarzystwa przystąpić i brać w niem żywy udział.

Ciekawe rzeczy.

Więźniowie w stanie Michigan w Ameryce, mają więcej przywilejów w swych celach więziennych, aniżeli w innych stanach Ameryki. Mają oni wolność wychowywania ptaszków. Około 600 skrzydlatych śpiewaków znajduje się w główniejszych więzieniach stanu Michigan, którzy dzielą los więźniów i uprzyjemniają swym śpiewem ich monotonne chwile. Wielu najzatwardzialszych zbrodniarzy, którzy nie dbaliby o nic wznioślejszego w swem życiu, oddają się z największem zamiłowaniem pielęgnowaniu swych małych ulubieńców, którzy swym śpiewem wielkie wpływy wywierają na ich zatwardziałe zbrodnicze umysły. Podczas dnia, gdy więźniowie są w zajęciu, ptaszki są wywieszane w klatkach na dworze; wieczorem zaś wnoszą je napowrót do celi. Pozwolono im również kanarki hodować i sprzedawać je, które to pieniądze zachowane w banku więziennym, są oddawane im wtedy, gdy ukończą swą karę i wyjdą z więzienia.

Małżeństwo roślinne. P. Port, antropolog angielski, opisuje w „Globusie“ zwyczaj szczególny indyjski, a mianowicie małżeństwo symboliczne. W pewnych pokoleniach hinduskich, młodsza siostra może tylko wtedy wyjść za mąż, gdy starsza już jest mężatką, ale dla usunięcia tej przeszkody, starsza siostra może poślubić drzewo, roślinę, lub jaki martwy przedmiot. Hinduski z upodobaniem wybierają w tym celu drzewa.

Margaryny nigdzie pewnie nie produkują tyle, co w Hollandji. Tak np. jedna jedyna fabryka margaryny w Rotterdamie, zajmuje 200 robotników, a przerabia mleko od 10.000 krów. Mleka dostarczają mniej więcej 2000 małych gospodarstw. Małe miasto Oss, mające 6000 mieszkańców, żyje prawie wyłącznie z tego przemysłu. Hollandya sama zużywa margaryny, wyprodukowanej tylko u siebie, mniej więcej 10%. Eksport roczny wynosił dotąd około 65.000 beczek. Sprowadzane jednakże w roku ostatnim z Australii masło naturalne w stanie zamrożonym, wpłynęło ujemnie na wyrób margaryny w Hollandyi.

Sędziwy wiek. W Szemasze na Kaukazie zmarła, przeżywszy 120 lat, nauczycielka szkoły ludowej dla dziewcząt, Mołła Nissa. Jako nauczycielka pracowała przez 93 lata. Staruszka życie zakończyła podczas wykładu w szkole. Tak donoszą dzienniki petersburskie.

Teatr — koncerta — widowiska.

Szczupły mamy materjał do dzisiejszej kroniki teatralnej.

Wszystko znajduje się w stanie przejściowym, bo rzeczywiście nowa dyrekcja, z p. Bandrowskim na czele, od 5 kwietnia faktycznie obejmuje rządy teatralne. Zanim obszerniej o tem napiszemy, załatwić się należy z końcową kroniką teatralną ustępującej dyrekcji.

Kilka benefisów zabłąkało się przy końcu gasnącego sezonu — pozostałość to z dawniejszych czasów — nie umiemy sobie wytłómaczyć, dlaczego, właśnie, pozostała? Wszystkie one wypadły skromnie — publiczność widocznie odzwyczaiła się od tych „uroczystości teatralnych“, potrzebnych akurat tak, jak dziury w moście,. A więc p. Kwiecińska wybrała sobie *Pana dyrektora* na benefis, farsę z francuzkiego tłómaczoną, o której pisaliśmy już w poprzednim numerze. P. Kwiecińska, można powiedzieć, jest wychowanką naszej sceny, pracuje na niej lat dwadzieścia. Dziś następuje przełom w jej talencie, a zawsze pozostanie ona niepospolitą siłą i ozdobą naszej sceny.

P. Czaplińska dała na benefis *Dwór w Władkowicach* — sztukę znaną, ograną i nie najlepszą z prac Przybylskiego, bo dużo w niej jest z tego, co poprzednio autor napisał. P. Czaplińska w swoim rodzaju ról naiwnych i lirycznych, jest jedną z najlepszych i najbardziej utalentowenyce artystek polskich i każdej, choćby największej sceny, może być chlubą. Grała wybornie Julkę.

P. Gasiński, ulubieniec „wyższej“ publiczności, zagrał na swój benefis znaną i dawno niegraną operetkę *Nietoperz* Straussa. P. Gasiński jest, właściwie, operetkowego autoramentu, ale sięga z powodzeniem i do ról charakterystycznych w komedji. Jako aktor dla każdej sceny przedstawia niepospolitą i produkcyjną siłę.

Wreszcie, na dochód reżysera opery, złożonego chorobą, p. Mieczysława Kamińskiego, artyści opery i operetki zorganizowali interesujące przedstawienie, które bardzo życzliwie przyjęte zostało przez publiczność, a w ogóle, zrobiło korzystne wrażenie, gdyż przyszło w pomoc, niegdyś głośnemu na cały świat tenorowi, a dzisiaj reżyserowi naszej opery, pracującemu zdolnie i pożytecznie. Grała także *Męża od biedy.*

Opera. Sezon operowy zakończony został jednoaktową operą Massenet'a, p. t. *Dziewczyna z Nawarry.* Rzecz ta, jako kompozycja muzyczna, przedewszystkiem robi wrażenie pretensjonalnej kompozycji. Czuć w niej sadzenie się na coś nowego. które chyba dla tego jest nowe, że jest nudne i pod względem kompozycyjnym powikłane, co ma niby znaczyć niezwykłe,, a właściwie — nic nie jest. Jest w tej — „Dziewczynie“ i *intermezzo*, bo taki teraz jest zwyczaj. Ni ztąd, ni zowąd, przerywa się rzecz całą i gra się coś, co może być wszędzie grane. *Intermezzo*, jednak, w *Dziewczynie z Nawarry*, jest rzeczywiście ładne i stanowi jej ozdobą.

Wykonanie opery pozostawiało wiele do życzenia. Okolicznością, jednak, łagodzącą dla artystów jest to, że wszystkie partje są strasznie niewdzięczne. Nie mógł silnym swoim tenorem nic dokazać p. Warmuth, a p. Nunzio zasmarowała wszystko w tytułowej partji, którą śpiewać powinna bezwarunkowo p. Dąbrowska a która też w benefisowem przedstawieniu śpiewała i wywołała istną furorę zachwytu. Opera ta nigdzie się podobała i u nas także. Pan Jeromin w basowej partji wyszedł zwycięsko, jak zwykle. P. Szymański niemiał co do roboty, choć śpiewał dobrze.

Helena Modrzejewska w AMERYCE.

Jej pierwszy występ*).

Ostatnia alarmująca choroba artystki „dwóch światów“, pani Heleny Modrzejewskiej, a przytem odezwa wasza do „pionierów“ emi-

*) Artykuł ten bierzemy z *Polonji*, pisma codziennego, wychodzącego w Baltimore w Ameryce. (Przyp. Redakcji).

gracji polskiej w Stanach Zjednoczonych spowodowała mnie do napisania niniejszego wspomnienia — jako przyczynek, albo przynajmniej materjał do historji tryumfów nietylko broni, ale i sztuki polskiej w dalekiej gościnnej Ameryce.

Starzeję ja się szybko. Po polsku od lat 18-tu tylko wyjątkowo mi się zdarzy przemówić, gdy starych mych przyjaciół i towarzyszów broni w San Francisca odwiedzę; polska książka, prócz kilku naszych „klasyków“, poetów nieśmiertelnych — których dzieła na pamięć prawie umiem, także rzadko mi się nawinie, jeszcze wasza „Polonia“, to prawie całą lekturą moją polską stanowi — i spójnię łączącą mnie z bracią „młodszą“ na emigracji. Uwzględniając to, darujecie może, że styl mój trochę już przyszorstki, a pióro niewprawne.

Było to w San Francisco, Cal. w roku 1876 w domu kapitana Bielawskiego, który mieszkał podówczas w „misyjnej“ części miasta, kiedym raz pierwszy poznał „prywatnie“ — bo dotychczas tylko ze sławy scenicznej ją znałem — panią Helenę Modrzejewską, jej męża hrabiego Chłapowskiego i jej sławnego przyjaciela, skromnego podówczas nowelisty, pana Henryka Sienkiewicza.

Ja miałem wówczas zajęcie w jednej z większych gazet angielskich: „Evening Post“ i tej zdaje się okoliczności mam zawdzięczyć zaproszenie i sposobność poznania naszej artystki i genialnego pisarza.

Tam się też wtedy ku wielkiemu zdziwieniu memu dowiedziałem, że pani Helena chce przygotować się do sceny angielskiej i wystąpić wraz z słynnym aktorem szekspirowskim Edwinem Booth...

Zdziwił mnie ten zamiar jej śmiały tembardziej, iż pani Modrzejewska prawie nic po angielsku nie umiała i dopiero, gdy postanowiła na scenie angielskiej wystąpić, zaczęła się uczyć języka. Edwinowi Booth nie zdawało się to wcale być przeszkodą. On poznał panią Modrzejewską w roku 1876 w Kalifornii i przy jakiejś sposobności odczytała pani Modrzejewska rolę „Ofelii“ z Hamleta po francuzku. Jej modulacja głosu, deklamacja i inne wielkie przymioty artystyczne, tak Boothowi zaimponowały, że od tego czasu spokoju jej nie dał, aż się nie zdecydowała wystąpić na scenie angielskiej. Do tego potrzeba było tedy dwóch rzeczy. Pierwsze rozgłosu, a powtóre języka... Pierwszą część ja załatwiłem, przy pomocy przyjaciela mego, irlandczyka, p. Mohany, który wtedy właśnie był redaktorem działu teatralnego i sztuk pięknych przy „Evening Post“. Tłumaczenia z gazet polskich, niemieckich i francuzkich, opiewające chwałę i talenta naszej artystki, licznego i podatnego dostarczyły nam materjału. Najbardziej zaimponował jednak publiczności w San Francisco własnoręczny list od Aleksandra Dumasa, syna.

Szczera praca około reklamy znanego i lubianego w kołach literackich i artystycznych, pana Henryka Sienkiewicza — wiele też pani Helenie pomogły.

Za jego i naszem staraniem, odbywały się w domu kapitana Bielawskiego częste wieczorki literackie, na które uczęszczało wiele znakomitości scenicznych, literatów, krytyków, między nimi J. Mc. Collouth, Blaine i Mahany, wszyscy znani pisarze dramatyczni i krytycy.

Na jednym z tych wieczorów, przypominam sobie, deklamowała pani Helena różne utwory po niemiecku, po francuzku i po polsku. Po polsku deklamowała „Ojca zadżumionych“ Słowackiego i „Hagarę“ przez nieznajomego mi poetę! Jeszcze dziś widzę w duchu blade twarze i błędny wzrok wzruszonych słuchaczy, widzę wrażenie olbrzymie, jakie wywarła na słuchaczach, którzy ani słowa po polsku nie rozumieli, a tylko przez dykcję, akcję, wyraz głębokiej rozpaczy na pięknej i przejętej twarzy deklamatorki, tak wzruszeni zostali, iż trwało minut kilkanaście, zanim przyszli do siebie!

I wtedy każdy zrozumiał tajemnicę jej porywającego talentu! Wtedy i my dopiero zrozumieli, dlaczego Edwin Booth, mający tyle świetnych artystek angielskich do wyboru — koniecznie pragnął mieć w swym Hamlecie Ofelię, odtworzoną przez Modrzejewską, którą podówczas niezdolną była jeszcze utrzymać najzwyklejszej konwersacji angielskiej. Ostatecznie i stanowczo postanowiła się Modrzejewska uczyć po angielsku, dopiero w lutym roku 1877.

Z końcem sierpnia tegoż roku, już wystąpiła po raz pierwszy w Ameryce. w starym „California“ teatrze w „Adrienne Lecouveur“. Dramat ten wybrała artystka na swoje „debut“.

Przez ośm miesięcy przed występem tym. mieszkała pani Modrzejewska na Geary ul. w skromnym, lecz milutkim domku i przez ten czas z całą energią oddała się nauce języka angielskiego.

Wielką pomocą była dla niej pewna młoda dama słowiańskiego pochodzenia, urodzona w Europie, ale wychowana w Ameryce — dama ta. posiadająca sama niezwykłe sceniczne i deklamatorskie zdolności, nie mało przyczyniła się do świetnej angielskiej wymowy i intonacji. Wszystko, co pani Helenie, co do języka zarzucano, to był nieco zaśpiewny ton i i wymawianie „r“s, a trudność tę do dziś dnia jeszcze zupełnie nie przezwyciężyła.

Na pierwsze przedstawienie zgromadzili się wszyscy w San Francisco mieszkający polacy, klub czeski „in corpore“, wszyscy literaci. dziennikarze, krytycy i artyści — bo pani Helena obracając się w tych kołach, potrafiła sobie serca wszystkich szturmem zdobyć. W pierwszym tym występie brali udział najsławniejsi artyści jak: Harry Edwards, Chas. Bishop, Walter Lemnon — którzy nawet bardzo często podrzędnymi kontentowali się rolami — dla przyjaźni pani Modrzejewskiej.

My wszyscy przyjaciele i znajomi debiutantki, z drżeniem serca i łatwo zrozumiałym niepokojem oczekiwaliśmy ukazania się artystki na scenie... bo prawdę mówiąc, obawialiśmy się, iż nie zdoła jeszcze pokonać trudności językowe.

Ale po kilku jej ruchach, po kilku zdaniach, widzieliśmy już, jak płonną była nasza obawa. a pani Modrzejewska od początku do końca była panią sceny, panią serc i uczuć publiczności i słońcem pomiędzy jasnymi gwiazdami. otaczających ją znakomitości scenicznych.

Tryumf artystki był już zapewniony! A że „California“ teatr jest jednym z najlepszych i najsławniejszych w Ameryce, to też gromem rozeszła się sława polskiej artystki od Oceanu do Oceanu. Po owem pamiętnem przedstawieniu, zaprosiła nas bliższych znajomych do „Polace“ hotelu na kolacyjkę, a chwile tam wówczas spędzone, zaliczam do najpiękniejszych chwil, jakiem ja biedny tułacz, kiedykolwiek zaznał w Ameryce.

Następną jej rolą była „Julia“ w szekspirowskiej tragedji „Romeo i Julia“. Cała Kalifornia była oczarowana grą naszej artystki, a gdy w piątek o kilka tygodni później było przedstawienie benefisowe pani Modrzejewskiej, to już na dni kilka przed przedstawieniem, biletu ani za cenę podwójną nie można było dostać. Ofiary z kwiatów i wieńców były tak liczne, że niemi scenę formalnie zawalono. Najbardziej ją jednak cieszył skromniejszy może jak inne, wieniec z róż białych i czerwonych z wstęgą satynową biało amarantową, na której złotymi literami wyciśnięta była dedykacja pióra druha naszego Henryka Sienkiewicza, w imieniu kolonji polskiej w San Francisco.

Od tego czasu pani Modrzejewska wiele też laurów i złota zebrała i może mnie biednego weterana i „gazetnika“ zapomniała — ale Kalifornia musiała się wpoić głęboko w jej serce wdzięczne. W pobliżu Anaheim w Kalifornii w okolicy, gdzie najcudniejsze w świecie kwitną ogrody — najwspanialsze wonieją kwiaty i owoce, tam zakupiła sobie piękną posiadłość i czas tam swój wolny spędza odpoczywając, chociaż nie wiem, czy wolno to nazwać odpoczynkiem.

Twórczy jej geniusz nie daje jej spoczynku!

Pisze, tłumaczy, czyta, rysuje, maluje i to bardzo udatnie, a teraz, gdy niestety zapewne z powodów zdrowia scenę porzucić będzie musiała, mam nadzieję, iż plany swe, zamiary i pomysły w czyn wprowadzi i napisze i odda światu te wszystkie dramata i tragedje, z których napisaniem nosi się brzemienna jej myśl od lat wielu.

Józef Kościesza.

~~~~~

Praktyczne wiadomości.

Terpentyna, jako środek dezinfekcyjny i zarazem odwaniający, jak się okazało, wywiera obustronnie pożądane własności, w zastosuwaniu do oczyszczania miejsc przepełnionych nieczystemi wyziewami. Jedna łyżka stołowa dobrze oczyszczonego olejku terpentynowego, wlana na 50 litrów wody, pochłania natychmiast nieprzyjemną woń miejsc ustępowych i niszczy zarazem chorobliwe miazmaty w pomieszkaniach z chorymi. Wyziewy dobrze oczyszczonej terpentyny wpływają nadto uzdrawiająco na organa oddechowe — Olejek terpentynowy znajduje też ogólniejsze zastosowanie w Australji, gdzie jest powszechnie ulubionym środkiem dezinfekcyjnym tualetowym, według następującego przepisu przyrządzonym. Na 1. część oczyszczonego olejku terpentynowego, wlewa się 7 części na wagę benzyny, potem na każde 30 gr. tak otrzymanej mięszaniny, dodaje się po 5 kropel olejku werbenowego dla zaperfumowania, czyli nadania mięszaninie przyjemnego zapachu Olejek werbenowy, inaczej zwany tamże wschodnio-indyjskim olejkiem trawnym, otrzymują tam z trawy, palczatka zwanej *(Adropogon nordus)*, która posiada zapach różany i bywa używaną do wyrobów perfumów. — Przyrządzonym w powyższy sposób olejkiem terpentynowym z benzyną i olejkiem werbenowym, można skrapiać bez szkody i pozostawiania plam, wszelkie odzienie, meble, obicia, książki, papiery itp. przedmioty, które, jeśli posiadają szorstką lub porowatą powierzchnię, to na długi czas zatrzymują własności dezinfekcyjne.

Niebieskiemu zabarwieniu się mleka można zapobiedz w następujący, przez praktycznego rolnika, A. Langenstrassen'a, wypróbowany sposób: Niebieskie zabarwienie. które, jak wiadomo, sprawia rodzaj bakteryj (Bacillus zyangenes), a przeciw któremu podręczniki o mleczarstwie środka nie podają, pojawiło się ponownie w gospodarstwie Langenstressen'a. Każe on wtedy odstawić osobno mleko niebieskie, skutkiem czego zarazek chorobotwórczy ograniczył się tylko do mleka od jednej krowy, a nie dostał się przez mieszanie, do ogólnej masy mleka. Mlekiem niebieskiem pasł L. cielętami, które skutkiem tego żadnej w zdrowiu nie poniosły szkody. L. jest zdania, że bakterje, wywołujące barwę niebieską w mleku, pojawiają się na wymieniu tej, lub owej krowy, że wtedy wypada tak długo mleko od takiej krowy brać osobno, aż choroba, nie ustąpi. Krowę taką powinna naturalnie wtedy doić osoba, która innych krów doić nie może. Czyste utrzymanie wszelkich statków używanych do doju sprawiło, że zarazek został zniszczony i w oborze się nie rozmnożył.

Środek przeciw przymrozkom wiosennym. Pismo metereologiczne „Monthly Weather Review“ podało niedawno wiadomość o różnych sposobach ochrony młodych pędów roślinnych, od tak groźnych dla nich przymrozków, występujących często w miesiącach kwietniu i maju. Oddawna już znanym środkiem jest tworzenie sztucznych chmur, przez spalenie znacznej ilości traw i w ogólności materjałów, wywiązujących dym obfity. Gdy powietrze jest spokojne, sposób ten może być korzystny, dym bowiem działa tu jak chmury istotne, tworząc przegrodę, chroniącą rośliny od nadmiernego promieniowania, które właśnie jest przyczyną tych spóźnionych przymrozków. Inny natomiast sposób ochronny, podany przez wspomniane pismo, jest mniej znany, a zasługuje na uwagę ztąd zwłaszcza, że nie jest od prądów atmosferycznych zależny; środek ten polega na obfitem skrapianiu wodą plantacyj przymrozkiem zagrożonych. Woda, mianowicie z powodu znacznej swojej ciepłojemności, stygnie daleko powolniej, niż ciała stałe, ląd w szczególności, ztąd też rozległe zbiorniki wody łagodzą silne przeskoki temperatury, stanowiące właściwość klimatu lądowego; gdy więc rośliny skrapiamy wodą, chronimy je od szybkiej utraty ciepła, co zatem działa tak, jakbyśmy je ogrzewali. Przytem wywiązuje się łatwo para wodna, która ze swej strony tworzy przegrodę, chroniącą grunt od promieniowania. Powietrze suche jest daleko silniej przecieplające, niż wilgotne, a przy zupełnym braku pary wodnej w powietrzu, promienie wysyłane w nocy przez stygnącą powierzchnię ziemi przedzierałyby się nader łatwo przez atmosferę, a temperatura każdej nocy opadałaby tak nizko, że roślinność nie mogłaby się zgoła utrzymać. Z tych więc
~~~~~

względów, ilekroć podczas wiosny obawiać się można przymrozków, pożytecznem będzie skrapianie wodą pól, które ochrony wymagają. Wielu zresztą rolników po obu stronach Atlantyku środek ten wypróbowało; przytoczyć można liczne przykłady dobroczynnego wpływu takiej kąpieli; rośliny zlane wodą, ocalały od zabójczego działania zimna, gdy tymczasem sąsiadujące z niemi rośliny, tego samego gatunku i tego samego wieku, ale nie skropione, wymarły skutkiem przymrozków.

Mleko w stanie twardym, jak donosi „Scientific American", przyrządzają obecnie w Ameryce według nowej metody, polegającej w części na tem, iż suszenie mleka odbywa się z pomocą zimna. Naprzód mleko zamrażają przy nieustannem kręceniu (jak przy robocie lodów), następnie w centryfudze kryształki lodu oddzielają się od części, zawierających wszystkie spożywcze pierwiastki mleka. Te ostatnie przepuszczają następnie przez powierzchnię cylindra, ochłodzonego do 28 stopni, następnie umieszczają w naczyniu napełnionem kwasem węglowym, gdzie suszą je przy temperaturze — 28 stop. potem znów ochładzają do zera, w tej temperaturze trą na proszek, zamykają hermetycznie i tak przyrządzone mleko wysyłają na sprzedaż.

Słodki smak kartofli objawia się często po dłuższem leżeniu ich w zimie, w piwnicy. Nie przeszkadza to kiełkowaniu kartofli i należytemu rozwojowi po wysadzeniu, ale do użytku kuchennego stają się często zupełnie niezdatnemi. Ażeby słodycz tę usunąć, trzeba umieścić je na kilka dni w ciepłej izbie, lub kuchni, a przybiorą smak zwykły. Kartofle te nie są przemrożone, gdyż w takim razie psułyby się prędko i nie kiełkowały.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pan Rom. Lew w Wiednin. Żądane numera z przyjemnością posłaliśmy pod wskazanym adresem. Objaśniający list wyślemy później.

X. X. X. w Krakowie. Wcale tej sprawy nie poruszaliśmy i nie poruszymy.

Z. w Paryżu. Dobrze, ale później.

Q. w Genewie. Pan Lewakowski był we Lwowie, ale czy jest, nie wiemy i nie interesujemy się tem wcale.

Autorom wierszy: „Jaskółki", „Sieroca dola" „Koniarze" i „Artystyczne pieśni" — utwory panów drukowane nie będą.

Nadesłane.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni Ludwika Arbaszewskiego, ul. Słowackiego l. 4.